Styczeń 2023

MAMMUTHUS MONTANUS

ssp. harnasiensis

270

PODORGAN MAMUTÓW SKPG „HARNASIE"

ORSZAK SIEDMIU KRÓLI

7.01.2023

Jak donoszą nasi korespondenci z Czech, objawiła się tam nowa świecka tradycja. Powszechnie wiadomo, że 6 stycznia obchodzone jest święto Trzech Króli. W wielu miejscach organizowane są tego dnia Orszaki Trzech Króli. Kilka lat temu pewien znany polityk ujawnił, że króli było nie trzech, lecz sześciu.

Okazuje się jednak, że i to nie była pełna prawda. Jak wspomniałem, nasi korespondenci donieśli o pojawieniu się 7 stycznia 2023 roku w Beskidzie Śląsko-Morawskim Orszaku Siedmiu Króli, którym towarzyszyło pięć Królowych. Orszak przybył do Komornej Lhotki (Kameralnej Ligotki) ok. godz. 10:00 czterema powozami. Już na początku wśród dostojnych władców (jak to bywa wśród władców) powstały pewne różnice zdań, na skutek których orszak podzielił się na dwa podorszaki. Jeden wstąpił do pobliskiego baru na kawę i piwo, drugi wyruszył od razu w góry. Wkrótce jednak, po szybkim zaspokojeniu kawowo-piwnych potrzeb, pierwszy orszak dogonił drugi i w iście wiosennej aurze, podziwiając widoki, Królowie i Królowe powędrowali w kierunku Kyczery, a potem Praszywej.

W pewnym momencie okazało się, że będąc uczestnikiem Orszaku, nie jest łatwo oddalić się na tzw. „stronę". Za pragnącym to uczynić Królem Janem Sittą natychmiast podążyło całe dostojne towarzystwo, zdobywając niechcący, położony poza wyznaczonym traktem bezimienny szczyt o wysokości 861 m.

Fakt ten wykorzystano do wspólnej biesiady oraz wykonania zbiorowego portretu Orszaku. Z tej okazji Królowie i Królowe przywdziali nawet na swe głowy korony, a jako że byli w Czechach, były to czeskie korony.

Po odpoczynku Orszak wyruszył dalej, by zdobyć szczyt Praszywej, a następnie, prowadząc poważne rozmowy dwu- i wielostronne, zaszedł do Chaty na Małej Praszywej. Jak się dowiedział nasz korespondent, Orszak przebył tak mozolną i wyczerpującą górską wędrówkę, by spalić nadmiarowe, poświąteczne kalorie oraz posylwestrowe procenty i promile.

By jednak nie uszczuplić zanadto sił dostojnych władców, należało zadbać o nowe kalorie i niewielką choćby ilość procentów. Na stołach przed chatą pojawiły się więc boruvkove knedle oraz kufle piwa i kofoli. Zaspokoiwszy głód i pragnienie, Królowie i Królowe wyruszyli w dalszą drogę prowadzącą już w doliny.

Orszak Siedmiu Króli w czeskich koronach.

Po dojściu do powozów król Waldemar Żabowy z królową Martą udali się do swej górskiej rezydencji zwanej Rolą, a reszta za namową Jana Sitty, który nie uznając zakąszania piwa słodkimi knedlami, nadal był głodny, udała się do miejscowej karczmy, by posmakować miejscowych specjałów w postaci bryndzowych haluszek oraz nadal uzupełniać płyny.

Jak podaje nasz korespondent, w Orszaku brali udział:

Król Sławomir zwany Mecenasem, król Ryszard Nowy, król Jan zwany Hansem Sittą z królową Danutą z rodu Zielińskich, król Waldemar Żabowy z królową Martą zwaną Żabą, król Piotr z królową Lilianną, król Marek zwany Mareczkiem z królową Małgorzatą zwaną Myszą, król Jacek z królową Jolantą.

Redakcja

ROWERAMI PO CZESKICH PAGÓRKACH I DOLINACH

(Na kole po českých kopcích a údolích)

W 2022 roku postanowiłem zrealizować rowerowy plan „B" sprzed roku, czyli trasę z okolic Brna do Pragi. Bliższe zapoznanie się z rozkładem jazdy pociągów zmusiło mnie do przeniesienia punktu startu z Brna do Břeclavia, gdyż właśnie przez Břeclav, a nie przez Brno jadą bezpośrednie pociągi z Katowic np. do Wiednia. Dojazd do Brna wymagałby przesiadki.

Pierwotny plan zakładał dwa tygodnie wędrówki i zamknięcie pętli, jednak w tym roku uwarunkowania czasowe pozwalały wybrać się tylko na tydzień, w związku z czym koniec trasy został przeniesiony do Pragi.

Początkowo ustaliliśmy dogodny termin z Ewą i Romkiem Kowalówkami, z którymi już od 4 lat realizujemy tego typu wyjazdy. Potem udało nam się zainteresować wyjazdem Dankę i Jasia Kowalików oraz Lilę Cader i Piotra Sąsiedzkiego (męża Lili).

Piotr i Lila mieli zadebiutować na wyjeździe rowerowym z sakwami, ale podeszli do tematu bardzo poważnie, wyposażając się w odpowiedni sprzęt (Lila kupiła nawet nowy rower) i ćwicząc kondycję. W kolejne soboty lub niedziele dostawaliśmy od nich fotki z wycieczek rowerowych świadczące, że nie próżnują.

Ja dopracowywałem trasę i wyszukiwałem potencjalne miejsca noclegów, oraz ciekawostki krajoznawcze. Jasiu i Danka również ćwiczyli, ale ostatecznie zdecydowali się na wariant wspomagany samochodem.

W maju umówiliśmy się na spotkanie połączone z wycieczką rowerową w okolicach Katowic. Przejechaliśmy niezbyt długą trasę z centrum przez Nikiszowiec, Wesołą Falę, Murcki, Rybaczówkę i Muchowiec, a na postojach omówiliśmy sprawy związane z wyjazdem. Ewa i Romek podjęli się zakupu biletów kolejowych do Břeclavia oraz na powrót z Pragi. Postanowiliśmy też zarezerwować nocleg pod dachem w Pradze. Pozostałe noclegi planowaliśmy na kampingach pod namiotami. Piotr został natomiast wyznaczony na stanowisko koordynatora d/s przedpołudniowej kawy.

***

Ekipa na trasie: Piotr, Jola, Ewa, Danka, Romek.

Wyruszyliśmy w sobotę 2.07.2022 r. o godz. 9:05 w sześć osób, pociągiem z Katowic do Břeclavia. Na miejsce dotarliśmy z lekkim opóźnieniem po godz. 13:00. Pogoda była piękna, humory dopisywały, więc po uzupełnieniu płynów w knajpce przy dworcu wyruszyliśmy na spotkanie z Jasiem i Danką do Lednic. Po drodze rzuciliśmy tylko okiem na neogotycki zameczek Januv Hrad i ładną leśną drogą wkrótce dotarliśmy pod pałac w Lednicach. Aby nie tracić czasu, zakupiliśmy bilety wstępu do pałacu na trasę po apartamentach prywatnych. Do wyboru jest kilka tras zwiedzania, ale ta była dostępna od razu. Po zwiedzaniu wpałaszowaliśmy sprawdzone i polecane przez Jasia langosze i ok. 17:00 wyruszyliśmy na dalszą część trasy. Mieliśmy do przebycia jeszcze ok. 40 km. W Pohořelicach, gdzie planowaliśmy pierwszy nocleg, byliśmy ok. 20:30. Jasiu już tam był i kosztował w barze morawskie wino.

cd. str. 2

***

Drugi dzień nie był łatwy. Prócz tego, że był upał, było pod górkę i mieliśmy do przejechania prawie 80 km, to na dodatek już na początku trasy zaatakowały nas rosnące przy drodze drzewa czereśniowe. Asfalt pod drzewami był dosłownie czerwony od rozjechanych owoców, a opony i buty jeszcze długo lepiły się do podłoża. Zaspokoiwszy czereśniowy nałóg, dotarliśmy do Moravskiego Krumlowa na kawę i lody. Miasteczko, w przeciwieństwie do swojego Czeskiego imiennika, nie było specjalnie ciekawe, więc po konsumpcji pojechaliśmy dalej. Po drodze część ekipy w osobach Joli, Piotra i mnie zaliczyła wzniesienie z wieżą widokową Babylon, z której mieliśmy widok m.in. na elektrownię jądrową Dukovany.

Po jednym z ostrych podjazdów. Fot. Piotr Sąsiedzki.

Krótki postój na zupkę regeneracyjną (nie tylko chmielową) zrobiliśmy w browarze Dalešice. Na kamping do Třebíča zajechaliśmy pod wieczór. Zwiedzanie miasta zostawiliśmy więc na następny dzień.

***

A było co zwiedzać – obejrzeliśmy m.in. rozległy i dobrze zachowany kirkut, dzielnicę żydowską (na liście UNESCO) z dwoma synagogami oraz romańsko-gotycką bazylikę św. Prokopa.

Gdy poszukiwaliśmy jakiegoś miejsca na kawę, okazało się, że Romkowi złamał się wspornik bagażnika. W Třebíču nie udało się kupić nowego bagażnika, ale tu przydał się wóz techniczny Jasia, który zabrał część bagażu Romka. A gdy dojeżdżaliśmy do Telča, Jasiu czekał już z zakupionym bagażnikiem. Telča nie trzeba specjalnie zachwalać. Nie tylko rynek, ale całe miasto – które mieliśmy już kiedyś okazję zwiedzać – jest bardzo piękne i ciekawe.

Po obiedzie w restauracji „U Szwejka" ruszyliśmy na ostatni etap trasy, na kamping w Lhotce. Tuż przed końcem trasy trochę pokropiło, ale prawdziwa zmiana pogody nastąpiła w nocy.

***

Rano zbudziło nas bębnienie kropel deszczu o tropik namiotów. Po śniadaniu zamówionym w kampingowej knajpce i sprawdzeniu prognozy pogody postanowiliśmy zwinąć biwak i... odczekać kilka godzin na poprawę pogody.

Poprawiło się przed 14:00 i dopiero wtedy ruszyliśmy na trasę. Tego dnia mieliśmy w planie niecałe 70 km, a celem była Třeboň. Spóźniony start spowodował, że po obiedzie w Jindřichův Hradcu postanowiliśmy nieco skrócić trasę i poszukać noclegu gdzieś bliżej. Znaleźliśmy go na kampingu w Jemčinie. W nocy krążyła po okolicy silna burza, nas jednak tylko zahaczyła.

***

Ranek był już całkiem pogodny, choć gdy dojeżdżaliśmy leśnymi drogami i przez groble rozdzielające stawy do Třeboni, napotkaliśmy sporo błota i kałuż.

Na rynku w Třeboni nie obyło się bez obowiązkowej kawy. Miasto jest, podobnie jak Telč, bardzo ładne i ciekawe, ale ponieważ tu również kiedyś już byliśmy, po ogólnym obejrzeniu ruszyliśmy dalej. Trasa tego dnia nie była długa (53 km), gdyż zamierzaliśmy zatrzymać się na kampingu w Kamennym Ujezde, a po południu podjechać autobusem (ok. 20 km) do Czeskiego Krumlova, by zwiedzić miasto.

Po rozbiciu namiotów i przebraniu się – jak do miasta przystało – wyszliśmy na przystanek. Nie przewidzieliśmy tylko jednej rzeczy. Była co prawda środa, ale jak się okazało, w Czechach było święto państwowe – rocznica spalenia Jana Husa. Autobus, którym zamierzaliśmy jechać, nie kursował. Od czego jednak mieliśmy Jasiowóz. Wkrótce, w dwóch turach, wszyscy zostali przewiezieni do Krumlova.

Spacerkiem powędrowaliśmy uliczkami Krumlova na krumlovski zamek, skąd rozciągał się piękny widok na miasto położone po dwóch stronach meandrującej Wełtawy. Zajrzeliśmy też na chwilę do zamkowych ogrodów. Potem zeszliśmy jeszcze na rynek i pod wieczór wróciliśmy na kamping.

***

Ostatnie trzy dni naszego wyjazdu mieliśmy jechać szlakiem EV7, doliną Wełtawy. W czwartek odwiedziliśmy najpierw Czeskie Budziejowice, po czym podążyliśmy do Hlubokiej nad Wełtawą, by obejrzeć imponujący zamek, który powstał już w XIII w., ale obecny wygląd w stylu angielskiego gotyku otrzymał w XIX w. Jednak przed dość stromym podjazdem na zamek, musieliśmy wstąpić na kawę i ciastka w miasteczku.

Obowiązkowa przerwa na kawę w Hlubokiej nad Wełtawą.

Dalsza trasa, mimo że wiodła ścieżką rowerową wzdłuż Wełtawy, nie przypominała typowych tras nadrzecznych. Nie było ani prosto, ani płasko, ani nudno. Zdarzył się nawet podjazd, na którym prawie wszyscy (nawet Jola) musieli wypchać rower. Generalnie, Wełtawa przypomina bardziej rzeki górskie niż nizinne, jej brzegi są często wysokie i skaliste, a sam szlak nie zawsze prowadzi ściśle brzegiem. Dzięki mapom.cz odkryłem nawet ferratę, poprowadzoną skałkami nad nurtem rzeki (ok. 5 km na północ od Hlubokiej). Nie mieliśmy jednak ani czasu, ani sprzętu, aby ją pokonać.

W Tynie nad Wełtawą zjedliśmy obiad i przeczekaliśmy deszcz. Do końca trasy zostało niecałe 20 km. Pogoda była nadal niepewna, a tymczasem na jednym z podjazdów poczułem brak powietrza w tylnym kole. Niby typowa awaria, ale dla mnie o tyle niepokojąca, że od paru dni jechałem ze świadomością przetartej i lekko pękniętej obręczy. Zauważyłem to dopiero w trakcie wyjazdu i od tej pory nie używałem prawie wcale tylnego hamulca typu v-brake. Na szczęście przyczyną dziury w dętce nie była pęknięta obręcz, lecz prozaiczny kawałek szkła, który znalazłem w oponie.

Joga na trasie.

Na kampingu czekała nas miła niespodzianka, gdyż Jasiu i Danka dogadali się z właścicielem, że możemy spać w jadalni połączonej z bufetem. Mogliśmy też zamówić obiad, a rano jajecznicę.

Jedynym mankamentem był brak pryszniców, które były w remoncie, ale mogliśmy korzystać z łazienki.

***

Atrakcją przedostatniego dnia naszej wędrówki był średniowieczny zamek Zvikov położony bardzo malowniczo na półwyspie w zakolu Wełtawy. Jasiowi, który jechał tym razem autem, udało się zwiedzić wnętrza, my obejrzeliśmy zamek z zewnątrz oraz zaliczyliśmy kawę i langosze. Uzupełnienie kalorii było uzasadnione, gdyż tego dnia mieliśmy do pokonania najdłuższy dystans na całym wyjeździe – 88 km, a wszelkie przyrządy pomiarowe wykazały, że pokonaliśmy również największą sumę podjazdów – ponad 1000 m.

cd. str. 3

Trudy rekompensowała dobra pogoda, piękne krajobrazy i dobry obiad w Krasnej Horze. Zanocowaliśmy na kampingu w Cholinie.

***

Ostatniego dnia zostało nam do przejechania ok. 60 km. Pierwsza połowa trasy nie obyła się jednak bez sporych podjazdów, wśród ładnych pagórkowatych krajobrazów. Potem było już z górki, a na koniec po płaskim. Tuż przed Pragą szlak nie był jednak zbyt przyjemny, gdyż prowadził remontowaną drogą z dużym ruchem samochodowym. Dopiero na ostatnich 8 km szlak prowadził ścieżką rowerową po prawej stronie Wełtawy.

Czeski Krumlov.

Po zakwaterowaniu w zaklepanym wcześniej hotelu Petr u podnóża wzgórza Petřín, wyruszyliśmy na spacer po mieście. Praga nikomu z nas nie była całkiem obca, a poza tym jest to miasto na zupełnie osobny temat, w związku z tym odwiedziliśmy standardowe miejsca, takie jak Most Karola, stary rynek, czy Hradczany. Wpadliśmy też do jednej z knajpek na kawę, a Jasiu i Danka wstąpili na piwo do kultowej piwiarni „U Zlatého Tygra", w której bywali m.in. Bohumil Hrabal, Václav Havel czy Bill Clinton. Teraz do tego grona dołączył również Harnaś Jan Kowalik.

W niedzielę ja z Jolą oraz Lila i Piotr wracaliśmy pociągiem do domu, Jasiu i Danka chcieli jeszcze zostać kilka dni w Czechach, a Ewa i Romek zostawali na dwa dni w Pradze.

***

Podsumowując – w 8 dni przejechaliśmy ok. 520 km i zrobiliśmy ok. 5000 m podjazdów. Co do tej drugiej liczby nie daję głowy, gdyż GPS potrafi wykazywać duże błędy, jeśli chodzi o przewyższenia, tym niemniej mogę potwierdzić, że trasa nie była łatwa i wymagała dobrej kondycji. Czechy mimo, że nie mają prócz Karkonoszy poważniejszych gór, nie są też krajem nizinnym. Większość powierzchni tego kraju to wyżyny i pogórza i jakby nie planować, trudno je ominąć. Mimo, że nie było całkiem łatwo, wyjazd chyba wszystkim się podobał. Zabrakło trochę czasu na dokładniejsze zwiedzenie niektórych miejsc, ale część z nich znaliśmy z innych wyjazdów. Muszę też podkreślić świetną atmosferę wśród uczestników i współpracę w przygotowaniu wyjazdu. Mam nadzieję, że w 2023 roku uda się zrealizować podobny wyjazd, a gdzie – na razie nie zdradzę.

Jacek Ginter

INSPEKCJA SOG cz.2

Wiosną ubiegłego roku przejechałem dwa środkowe odcinki Rowerowego Szlaku Orlich Gniazd. Krótką ocenę tego fragmentu szlaku zamieściłem w MM265. Jesienią 2022 r. udało się dokończyć szlak, przejeżdżając najpierw odcinek Częstochowa – Żarki, a na koniec Olkusz – Kraków.

Zacznijmy od początku, czyli od Częstochowy. Pierwsze 7 km, to wyjazd z miasta, poprowadzony w większej części ul. Mirowską. Nie jest to odcinek zbyt ciekawy i przyjemny. Na pewno przydałaby się przynajmniej dobra ścieżka rowerowa wzdłuż drogi.

Potem mieliśmy ok. siedmiokilometrowy odcinek leśny. Tu po opadach deszczu trafiliśmy miejscami na błoto, ale w sumie jechało się przyjemniej niż ulicą. Kolejne 6 km do Olsztyna to znów droga publiczna, i to dość ruchliwa.

Na odcinku Olsztyn – Zrębice poprawiono stan nawierzchni w stosunku do tego, co było tu przed laty. Obecnie jest w miarę dobry szuter, kiedyś była piaskownica. Kolejny odcinek poprowadzony został drogą publiczną przez Zrębice i Krasnawę do Piekła. Ze względu na ruch samochodowy też nie należał on do najprzyjemniejszych. Od tego miejsca było już znacznie lepiej. Kolejne 6 km jechaliśmy przez pola i las, a przed Złotym Potokiem piękną klonową aleją.

Nie będę opisywał atrakcji Złotego Potoku, bo chyba wszyscy je znamy. Jest tu co zwiedzić, można też coś zjeść – np. pstrąga. Dalsza trasa też jest bardzo przyjemna. Najpierw jedziemy dobrą szutrówką wijącą się przez las, a od Ostrężnika asfaltową ścieżką rowerową również przez las, aż do Przewodziszowic. W sumie ok. 10 km. Stąd ulicą do Żarek pozostaje nieco ponad 2 km.

My przedłużyliśmy trasę do Żarek Letniska, gdzie przy stacji kolejowej zostawiliśmy samochód.

W sumie niewiele byśmy stracili, zaczynając szlak w Olsztynie, tyle że do Olsztyna nie można łatwo dojechać z rowerem komunikacją publiczną. Ze Zrębic lepiej byłoby poprowadzić szlak razem z wersją pieszą – z tego, co pamiętam, jest przejezdna rowerem i omija spory kawałek drogi publicznej.

Leśna rowerowa „autostrada" za Rudnem.

Ostatni fragment SOG zaczęliśmy w Olkuszu. Z opisów wynikało, że im bliżej Krakowa, tym gorzej, jeśli chodzi o jakość szlaku. Okazało się to nie do końca prawdą. Wyjazd z Olkusza był wprawdzie średnio oznakowany, a pierwszy leśny odcinek trochę piaszczysty, ale dalej było już lepiej.

Nie lubię odcinków poprowadzonych drogami publicznymi. Tu, od Zawady do Paczułtowic, mieliśmy taki odcinek, gdzie mijały nas samochody z małym wyjątkiem w postaci miłego, lokalnego asfalciku okrążającego Powroźnikową Skałę.

Z Paczułtowic przez Czerną do Krzeszowic nadal jechaliśmy drogą publiczną. Na szczęście było z górki, więc pokonaliśmy ten odcinek dość szybko.

Z Krzeszowic przez Tenczynek do Rudna jedzie się również asfaltami, ale droga jest dość spokojna. W Rudnie można odbić do ruin zamku, my już je widzieliśmy, więc skręciliśmy od razu w las, na dalszą część szlaku. Odtąd aż do obrzeży Krakowa trasa wiedzie lasami lub polami dobrymi szutrami lub asfaltami bez ruchu samochodowego. Można by się przyczepić do krótkich fragmentów nieco trudniejszych dla turysty jadącego „na ciężko" w okolicach Brzoskwini i Kleszczowa, ale generalnie jest to bardzo przyjemny i dobrze poprowadzony odcinek. Druga część tego odcinka obfituje też w widoki na Beskidy z dominującą na horyzoncie Babią Górą.

Ze Szczyglic do Mydlników szlak prowadzi niestety ruchliwą ulicą, dopiero potem zjechaliśmy na parkowe alejki lub boczne uliczki, a na koniec na ścieżki rowerowe, którymi dotarliśmy do centrum Krakowa. Szlak kończy się przed centrum. Jeśli chcemy dotrzeć na dworzec, musimy radzić sobie samodzielnie. Szczególną trudność może sprawić dotarcie do hali dworcowej. Układ komunikacyjny wokół nowego dworca jest dość skomplikowany. My dotarliśmy na dworzec od wschodu, ale nie wiem, czy jest to optymalny wariant.

Reasumując , odcinek Olkusz – Kraków był całkiem niezły, choć jest na nim kilka fragmentów trudnych dla rowerzysty obciążonego sakwami (choć i takich widzieliśmy na trasie).

Jeśli chodzi o cały Szlak Orlich Gniazd w wersji rowerowej, to jest on bardzo nierówny, jeśli chodzi o standard i przejezdność dla turysty rowerowego. Są odcinki poprowadzone lub wręcz zbudowane bardzo dobrze, ale jest też wiele odcinków trudnych lub wręcz niemożliwych do przejechania z obciążeniem w postaci sakw czy przyczepki z dzieckiem. O ile wprawni sakwiarze jakoś sobie poradzą, to pokonanie całego szlaku z dzieckiem na własnym rowerze lub w przyczepce może być bardzo trudne, niebezpieczne, a nawet niewykonalne.

SOG jest przykładem pomieszania starego podejścia do wyznaczania szlaków rowerowych, które prowadzone były głównie drogami publicznymi (w dawniejszych czasach dość mało ruchliwymi), z nieco nowszą tendencją do wytyczania takich szlaków głównie pod rowery MTB oraz z domieszką aktualnych trendów polegających na budowie szlaków przeznaczonych do turystyki rowerowej według ściśle określonych standardów jeśli chodzi o rodzaj i jakość nawierzchni, nachylenie, standardowe oznakowanie itp. Miejmy nadzieję, że to ostatnie podejście wkrótce stanie się powszechne i również rowerowy SOG stanie się długodystansowym szlakiem rowerowym z prawdziwego zdarzenia.

Jacek Ginter

SOLOWE, NOCNE, ZIMOWE WEJŚCIE NA OSIEMSETNIK

Nie był to może wyczyn na miarę pierwszego zimowego kobiecego przejścia prawą Granią Krupówek, któregoś z kanion(walk)ingów Maestra czy pierwszego przejścia środkowego filaru (nową drogą!) Północnej Ściany Lasku, choć z tym ostatnim wydarzeniem moja przygoda miała pewne punkty styczne.

Plan urodził się dzień wcześniej, kiedy postanowiliśmy pojechać w odwiedziny do Babci z okazji Dnia Babci, dzień przed Dniem Babci. Przy okazji Kinga umówiła się z przyjaciółkami na świętowanie urodzin jednej z nich, co oznaczało kilkugodzinną wolność, a jak wolność, to tylko w górach! Na około cztery godziny – na tyle otworzyło się okno przygody. Pozostało wybrać cel. Padło na Wielką Cisową, trasą przez Czupel z Jaworza Nałęża i z powrotem doliną Jasionki. Dojazd zajął dwadzieścia minut samochodem ze Skoczowa, kolejne dwadzieścia zaplanowałem na powrót – okno więc przymknęło się do trzech i pół godziny akcji górskiej.

Ciekawie rysowała się pogoda i warunki śniegowe. O 13:00 wyjeżdżaliśmy z absolutnie bezśnieżnych Gliwic. W Żorach pokrywa śnieżna miała już około 3 centymetry. W Ustroniu 10 centymetrów. O 17:30 w Nałężu – 15 centymetrów. I co ciekawe, dopiero wtedy zaczęło prószyć. W lekkiej zamieci przebrałem buty, ubrałem kurtkę, zapakowałem plecak i wyruszyłem na szlak. Początkowe metry utwierdziły mnie w przekonaniu, że Wielka Cisowa jest w zasięgu. Ścieżka była przetarta! Ktoś tego dnia już tędy szedł, ktoś inny jechał na nartach, pomyślałem, że będzie więc łatwiej. Śnieg prószył coraz mocniej , ale ślady były widoczne i pozwalały na szybkie zdobycie wysokości. Po chwili, mniej więcej w połowie podejścia do grzbietu, ślady się urwały. To były ślady kogoś, kto wszedł na górę piechotą, a z góry zjechał na nartach. No cóż, trzeba było dalej torować samemu. Pokrywa śnieżna zwiększała się wraz z wysokością i bieżącymi opadami. Dotychczas jednak udawało się sprawnie zdobywać wysokość na wschodnim zboczu Łazka. Grzbiet udało się osiągnąć około 18:00. Śnieg sypał już znacznie mocniej. Pokrywa śnieżna miała tu już przynajmniej 20 centymetrów. Widoczność, ze względu na ciemność, padający śnieg i co jakiś czas przychodzące kłębki mgły, ograniczona była momentami do 5–8 metrów. Im mocniej świeciła czołówka, tym mniej było widać. Przez większość czasu szedłem na trybie „do czytania".

Chcąc oszczędzić trochę czasu, zrezygnowałem z pierwotnego pomysłu przejścia czysto grzbietowego i strawersowałem Łazek. Rozpocząłem podejście pod Czupel. Będąc już w bezpośredniej bliskości szczytu, zobaczyłem światełko. Pierwsza myśl (a może mówiłem do siebie?): „w pobliżu nie ma żadnego tunelu – to dobrze". Druga myśl: „Yeti – gorzej". Trzecia myśl: „Yeti w Beskidzie nie występuje – lepiej". Czwarta myśl: „Ale inne zwierzęta występują – znowu gorzej". Z taką huśtawką pozytywnych i negatywnych myśli i emocji wszedłem na szczyt i zobaczyłem znicz rozpalony w kapliczce na drzewie. Piąta myśl: „No przecież mówiłem, że kapliczka". Czas operacyjny 18:30 – zrobiło się ciasno, ale jeszcze nie niemożliwie, by zrealizować pierwotny plan. Poza tym byłem dopiero na siedemsetniku, a miałem tego dnia ambicję na więcej. Śnieg sypał dalej. Zejście z Czupla poszło bardzo szybko i sprawnie. Na przełęczy niespodzianka – trzeba było omijać lekko zamarznięte kałuże. Na tyle lekko, że lód nie stanowił problemu dla buta. Dla utrudnienia kałuże były przykryte świeżym śniegiem. Znowu straciłem trochę czasu, snując się w zaroślach, to po jednej, to po drugiej stronie ścieżki. Wejście na Małą Cisową też nie było łatwe. Ale czego można się spodziewać po pierwszym w tym ramieniu osiemsetniku? Zacząłem odczuwać, że sam toruję, a śniegu nie ubywa, ścieżka zrobiła się stromsza, wiatr smagał śniegiem po lewym policzku i co jakiś czas zrzucał porcje śniegu z gałęzi drzew. Przez chwilę szedłem, mając po prawej stronie ogrodzenie młodnika, po chwili pojawiło się ono również po lewej. Miałem nadzieję, że nie pojawi się też przede mną. W pewnej chwili Pokładowe Urządzenie Nawigacyjne model „Zmysł", typ „6" oraz to, że teren przestał się wznosić, zniknęły płoty, a potem drzewa, najpierw po prawej stronie a potem po lewej stronie ścieżki, wskazały, że znalazłem się na polanie szczytowej Małego Cisowego. Pokrywa śnieżna – przyzwoite 25 centymetrów. Kontrola zegarka – 19:15. Już za połową czasu, jeszcze przed połową odległości. Cisnąć na Wielką Cisową? Zbiegać do doliny nieznaną ścieżką? To nie była pogoda na nieznane ścieżki. Wszystkie fajne pomysły wydały się niemądre, a jedyny mądry – niefajny i nielubiany. Skorzystałem jednak z tego ostatniego. Podjąłem decyzję o powrocie drogą ostatniego zdobywcy. Wiedziałem, że z powrotem będzie łatwiej – bardziej w dół, po własnych śladach, z każdym metrem mniej śniegu. Zdążę. Zacząłem odwrót. Śnieg sypał dalej i mocniej. Miłą odmianą było jednak zacinanie w prawy policzek. Trudności przełęczy udało się pokonać dużo sprawniej. Ślady sprzed kilkudziesięciu minut były jeszcze widoczne.

Fotografia poglądowa 1. Trawers Łazka.

Fotografia poglądowa 2. Widok z polany szczytowej na Wielkiej Cisowej.

Fotografia poglądowa 3. Na Czuplu.

Wejście na Czupel też nie sprawiło problemu, choć ślady, jeszcze przed chwilą wyraźne, zaczęły tracić ostrość krawędzi. Na szczycie zjadłem batonik orzechowo-karmelowy i opróżniłem termos z herbatą z imbirem. Na ścieżce w stronę Łazka nie widziałem już swoich śladów w ogóle. Doszedłem do miejsca, w którym trzeba było zejść z grzbietu. Tak zrobiłem i od razu śnieg zaczął zacinać prosto w oczy, a wiatr nie ułatwiał wędrówki. Widoczność zmniejszyła się jeszcze bardziej. Do śniegu, wiatru, mgiełki i ciemności dołączyły przymknięte oczy. Przynajmniej światło czołówki, odbite od padającego śniegu, przestało oślepiać. Ścieżkę znajdowałem, wybierając największe odległości między drzewami. Na szczęście warstwa śniegu na ziemi stawała się coraz cieńsza. W końcu spotkałem opuszczone przy podejściu ślady nart, a po chwili zobaczyłem pierwsze światła w dolinie. Godzina 20:15 – idealnie. Dotarłem do samochodu, otrzepałem ze śniegu siebie, otrzepałem ze śniegu samochód. Przyrost pokrywy śnieżnej o 6 – 7 centymetrów (mierzone na dachu auta) w porównaniu do momentu wyjścia. Kilka godzin regeneracji u znajomych i powrót do domu, na chwilę wstrzymany tirem wyciąganym z barierki dzielącej jezdnie na Wiślance. Do Gliwic wróciliśmy około 1 w nocy. Zastaliśmy już 10 centymetrów śniegu.

Dawno nie czułem się w górach tak dobrze, jak tym razem. Pozwoliły na odpoczynek głowie i dały trochę zmęczenia ciału. Kazały trochę powalczyć z pogodą i poćwiczyć nawigowanie w trudnych warunkach. Zabrakło widoków, ale z tym się liczyłem od początku spaceru. Zazdroszczę tylko kursantom, którzy tej nocy rozpoczynali swoje przejście kondycyjne i mogli w górach spędzić nieco więcej czasu. Jak piszę te słowa, to wciąż idą, a ja już po spaniu, po śniadaniu i w cieple. Miłej drogi!

Jasiek Pizoń

TO BYŁO

✔ 7.01 Orszak Siedmiu Króli w Beskidzie Śląsko-Morawskim.

✔ 25.01 Zebranie knajpowe w Sports Bar & Pizza w Gliwicach.

TO BĘDZIE

❋ 4–5.02 Rajd Zimowy z metą w Chacie na Zagroniu. Planowane sa dwie trasy – z Ciśca przez Halę Boraczą oraz z Glinki przez Krawców Wierch i Złatną.

❋ 25–26.02.2023 Blachowanie kursu 2021/23 odbędzie się w schronisku na Szyndzielni. Zapisy na forum kołowym.

❋ 7.03 Rozpoczęcie kursu przewodników beskidzkich SKPG „Harnasie" 2023/25. Kurs poprowadzą: Sebastian Lenartowicz, Magda Przybyłowska i Bartłomiej „kruczek" Cisowski.